

KRZYSZTOF MIKULSKI, JACEK WIJACZKA \*

## Humanista – technoidiota czy świadomy empatyczny współobywatel?

W minionych wiekach wrogami społecznymi były czarownice, żydzi, masoni i cykliści. Dzisiaj, mamy wrażenie, że w Polsce stali się nimi humaniści. Wrażenie to umacniają w nas ostatnie wypowiedzi prasowe m.in. dyrektora Narodowego Centrum Nauki prof. Andrzeja Jajszczyka (GW, 14.02.2014), prorektora UMK ds. badań naukowych i informatycznych (a nawet już wiceministra) prof. dra hab. Włodzisława Ducha („Polityka” oraz przedruk w „Głosie Uczelni” R. 23, 2014, nr 3), Dominika Antonowicza, Michała Bilewicza i Emanuela Kulczyckiego („Forum Akademickie”, 2014, nr 3, s. 10). Ponieważ wymienione osoby reprezentują podobny pogląd na sytuację humanistyki w Polsce, tekst nasz będzie zawierał zarówno elementy polemiczne, jak też wskazywał na możliwe rozwiązania.

W swoim artykule *Nie płaczmy nad humanistyką* Włodzisław Duch odnosi się do dyskusji o kondycji tego obszaru nauk. Według niego polska humanistyka i humaniści mają się dobrze, nawet za dobrze, gdyż studentów na wydziałach humanistycznych jest zbyt wielu. Płakać, według niego, należy natomiast nad wydziałami biologii (0,63% wszystkich studentów) czy fizyki (0,42% studentów). Za mało osób studiuje także na wydziałach technicznych i matematycznych. W związku z tym w najbliższych latach grozi nam „wizja technoidiotów, którzy nie wiedzą, skąd się bierze prąd w gniazdku, i potrafią jedynie naciskać guziki w telefonie, ale nie mają pojęcia, jak i dlaczego działa. Zaczyna brakować ludzi, którzy mają jakiegokolwiek pojęcie o tym, jak sprawdzić, czy woda nie jest skażona, jak cokolwiek budować”.

Nie ukończyliśmy politechniki ani też żadnego wydziału technicznego. Jesteśmy absolwentami historii, a więc technoidiotami, którzy są przekonani o tym, że prąd do naszych mieszkań dostarcza się w wiadrze, a w naszych telefonach komórkowych siedzą krasnoludki, które opowiadają nam bajki do ucha. Mimo to nie czujemy się wyobcowani z otaczającego nas świata, staramy się nie ulegać owym krasnoludkom. Nie uważamy też, że absolwenci humanistyki są gorsi od innych. Równie dobrze radzą sobie w dzisiejszej rzeczywistości. Nie są też temu winni, że zbyt mała liczba maturzystek i maturzys-

---

\* Prof. dr hab. Krzysztof Mikulski (kmik@umk.pl), prof. dr hab. Jacek Wijaczka (jawi@umk.pl) – Instytut Historii i Archiwistyki, Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu

tów decyduje się na studiowanie matematyki czy chemii. Naszym zdaniem problem powstał dlatego, że po 1989 r. podjęto decyzję o zamknięciu szkół zawodowych, techników, liceów zawodowych i wysłaniu młodzieży na studia uniwersyteckie, aby w ten sposób odsunąć, przynajmniej na kilka lat, problem ze znalezieniem dla tej młodzieży nowych miejsc pracy. Pozwolono również na założenie kilkuset prywatnych szkół wyższych, kształcących wprawdzie na niskim poziomie, ale przynoszących krociowe do czasu zyski ich właścicielom.

Głównym wrogiem, który ma olbrzymi wpływ na kryzys szkolnictwa wyższego, nie jest bowiem świat nauk eksperymentalnych ani parametryzacja nauki, tylko tzw. uzawodowienie studiów – próba wykazania, że każdy kierunek studiów uniwersyteckich musi być potrzebny w gospodarce, a każdy kończący studia ma mieć zapewnioną pracę. Działo to zarówno na niekorzyść studiowania na kierunkach eksperymentalnych, jak i humanistycznych. W latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku wprowadzono system boloński, zachęcając do niego młodzież i przekonując, że już po trzech latach będzie można zakończyć studia, zdobyć w tym czasie uprawnienia zawodowe i podjąć pracę. Kto nie będzie chciał zarabiać pieniędzy, będzie mógł kontynuować naukę na studiach magisterskich. Ponieważ występował „głód studiów”, to prywatni właściciele szkół wyższych wykorzystali go otwierając przede wszystkim kierunki ogólnohumanistyczne, nie wymagające laboratoriów i sprzętu specjalistycznego. Uważano, że do studiowania „humanistyki” wystarczy wykładowca, tablica i kreda, biblioteki z książkami uważano za niepotrzebne, a poza tym studenci mogli z nich korzystać gdzie indziej. „Minimalizacja nakładów, maksymalizacja zysków” – to, niestety, główne motto polskich prywatnych szkół. Wiele z nich łamie przy tej okazji obowiązujące przepisy, a ministerstwo nie umie (a może i nie chce) sobie z tym problemem poradzić.

Można zaryzykować tezę, że takie ukierunkowanie nauczania na studiach wyższych w minionym okresie było efektem lobbingu uczelni prywatnych. Dla nich w każdym razie tego typu „ustawienie studiowania” było szczególnie korzystne. Pozwalało tworzyć bez ograniczeń „byle jakie” trzyletnie szkółki zawodowe, mając studentów szansą na kontynuowanie studiów na uczelniach państwowych. Ustawodawstwo to uderzało i nadal uderza przede wszystkim w tradycyjne kierunki studiów uniwersyteckich. Rozbito ich zwartość, zniszczono wypracowywane latami programy kształcenia, zmuszono do odgrywania roli przytułków dla niedouczonej maturzystów i absolwentów uczelni prywatnych.

Stworzono w ten sposób miraż dla kandydatów na studia, że najlepszą lokatą ich ambicji kształceniowych będą kierunki, które dają zawód, w domyśle – szansę na zarabianie dużych pieniędzy, łatwe uzyskanie pracy. Jakież to kierunki przodują pod względem liczby studentów? Oczywiście nie filozofia, czy historia sztuki, ale prawo, administracja, zarządzanie, pedagogika, bezpieczeństwo narodowe i wewnętrzne. Czy absol-

wenci tych kierunków dostają pracę? Otóż nie – przodują w ostatnich latach na listach bezrobotnych.

Część polskich uczonych zafascynowanych jest Stanami Zjednoczonymi i idącymi stamtąd trendami „naukometrii”, czyli oceniania rozwoju nauki w punktach. Dla wielu pracowników naukowych, a głównie dla urzędników ministerialnych, ważniejsze od nauki stały się rankingi czasopism, uczonych, jednostek naukowych, uniwersytetów, wreszcie dyscyplin naukowych. Nie wątpimy, że „w Japonii, USA i Singapurze” kształcenie uniwersyteckie „wygląda zupełnie inaczej niż u nas”. Nie trzeba sięgać tak daleko. Również w Niemczech czy Czechach jest inaczej. Przede wszystkim pieniądze dla uniwersytetów nie są tam powiązane, tak jak u nas, z liczbą studiujących.

Zapatrzeni w Amerykę krytycy kształcenia humanistycznego nie zauważyli, że w ostatnich latach także tam zaczyna się na nowo doceniać humanistykę i jej znaczenie w życiu społecznym. Amerykański, a więc na pewno świetny, socjolog wiedzy Steve Fuller w jednym z esejów napisał: „Teraz wszystkie dyscypliny naukowe, także te humanistyczne, nastawione są na wymierny wynik badawczy. Takie podejście uwłaszcza historycznej misji uniwersytetów, która polegała na przekształcaniu naczelnych *homo sapiens* w istoty o zainteresowaniach, aspiracjach i osiągnięciach wykraczających poza skuteczne przedłużanie gatunku”<sup>1</sup>. Dalej kontynuował: „Uniwersytety u swego zarania powstawały jako uczelnie humanistyczne. To nauki ściśle muszą nadrobić zaległości, ponieważ w znacznej mierze przejęły zasadę użyteczności typową dla przemysłu. Skutkiem takiego podejścia jest mentalność typu «im więcej, tym lepiej», która coraz częściej przyświeca publikacjom ze wszystkich dziedzin naukowych. Niestety, nie zawsze wychodzi to na dobre realizacji szerszych celów społecznych, kulturowych, a nawet gospodarczych”.

Przedstawiciele nauk „niehumanistycznych” postawili sobie na cokole indeks cytowań oraz *Impact Factor*. Liczba cytowań ma dowodzić wartości naukowej danego tekstu, przekładającej się na wartość danego uczonego. Zapominają jednak (lub nie chcą pamiętać, a może większość z nich po prostu nie wie), że indeks cytowań został opracowany pierwotnie nie po to, aby oceniać dorobek pojedynczego uczonego, ale po to, aby ułatwić uczonym śledzenie głównych tendencji wśród coraz bardziej złożonych dyscyplin. Ulubiona przez ministerialnych urzędników tzw. lista filadelfijska stworzona została dla nauk eksperymentalnych (medycznych, technicznych itd.), brak na niej od początku czasopism humanistycznych, co nie przeszkadza polskim „wyznawcom listy filadelfijskiej” zarzucać humanistom, że nie mają tam publikacji. Zauważyć przy tym należy, że firma Thomson Reuters, która opracowała i sprzedaje bazy cytowań, jest firmą komercyjną i stworzyła je po to, aby na nich zarabiać. Profesor Karol Myśliwiec, archeolog,

<sup>1</sup> „Gazeta Wyborcza”, 8-9 grudnia 2012, s 17.

zauważył słusznie, że „naśladujemy jak papugi wszystko, co się dzieje na Zachodzie. Nawet to, z czego Zachód się wycofuje – choćby z takiej metrycznej oceny nauk humanistycznych. Na punkty przeliczana jest cała działalność naukowa. Przy czym za wielorozdziałową, prawdziwą monografię dostaje się tyle samo punktów co za sześćoarkuszy artykuł do zagranicznego czasopisma. Nikt się nie zastanawia, że nie ma obiektywnych kryteriów do oceny tego, kto tworzy dzieło wybitne”<sup>2</sup>.

Rozumiemy potrzebę parametryzowania nauki jako elementu pobudzania pewnych działań przez państwo i odpowiedniej wyceny „wartości” jednostek naukowych, ale jesteśmy absolutnie przekonani, że jakiegokolwiek porównywanie nauk humanistycznych i eksperymentalnych czy medycznych, jeśli idzie o tzw. „punkty”, nie tylko nie ma sensu, ale jest wysoce szkodliwe społecznie i pseudonaukowe. Podobnie jak próby przeniesienia „parametryzacji” na ocenę dorobku naukowego poszczególnych osób, a nie tylko jednostek naukowych. Humanistyce potrzeba innej kategoryzacji czasopism i generalnie prac naukowych, aniżeli w naukach ścisłych czy medycznych. Nauki humanistyczne z założenia są niewymierne, a więc niepoliczalne i niemożliwe do zobiektywizowanej oceny punktowej. Znacznie poprawniejsze jest ich jakościowe ocenianie przez grupę ekspertów.

Pracujący przez ponad rok Zespół ds. Parametryzacji Czasopism przy Wydziale I PAN przesłał w piśmie do Pani minister Leny Kolarskiej-Bobińskiej naszym zdaniem bardzo wyważone propozycje zmian w systemie parametryzowania publikacji z zakresu nauk humanistycznych i społecznych. Sugeruje w nim, że „system oceny czasopism naukowych powinien zapewniać merytorycznie trafną, sprawiedliwą i wolną od błędów ocenę wartości publikacji naukowych. Poza samą oceną system jest w istocie układem bodźców kierowanych z jednej strony do badaczy, z drugiej zaś do wydawców (redakcji czasopism). Jego konstrukcja musi przyczyniać się do promowania, a w perspektywie, do podnoszenia wysokiego poziomu badań naukowych prowadzonych w Polsce”.

Według propozycji zespołu „ocena czasopism naukowych powinna zostać przeprowadzona w dwóch etapach. Pierwszy, odpowiadałby wprowadzonemu przez MNiSW sformalizowanemu («parametrycznemu») systemowi ocen. W etapie drugim, powołani eksperci dokonywaliby weryfikacji punktacji otrzymanej przez czasopisma w etapie pierwszym. Pozwoli to uniknąć oczywistych błędów i odsunie niebezpieczeństwo ośmieszającej krytyki, na którą narażony jest obecny system.”

Ze względu na specyfikę nauk humanistycznych i społecznych wyrażającą się powolnym wchodzeniem artykułów do obiegu naukowego (wskazują na to wszystkie badania bibliometryczne) stosowanie indeksu PIF dla tych publikacji mija się z celem. Niezbędne jest też uwzględnienie wysuwanych postulatów o uznaniu rangi języka polskiego

---

<sup>2</sup> *Za dwa pokolenia się poprawi.* Rozmowa z prof. K. Myśliwcem, „Gazeta Wyborcza” 24 kwietnia 2014, s. 20.

dla czasopism z zakresu nauk humanistycznych, dla których językiem podstawowym jest język narodowy (filologia, ale także historia, historia sztuki, prawo itd.). Na marginesie zauważyć trzeba, że w Narodowym [podkreślenie autorów] Centrum Nauki praktykuje się zmuszanie do wypełniania wniosków grantowych dla nauk humanistycznych w języku angielskim, co jest uwłaczające dla kultury polskiej. Wreszcie zespół zwrócił uwagę, że najważniejszą formą wypowiedzi humanistów są monografie – przynajmniej te najlepsze powinny być punktowane na poziomie najbardziej wartościowych artykułów z zakresu nauk eksperymentalnych. Problemem pozostaje sposób ich wyłaniania. Być może rację ma prof. Jerzy Brzeziński, który proponuje, żeby oceniać tylko te książki, które wskażą jako najlepsze jednostki naukowe. Na tym poziomie ranking takich opracowań mogłyby sporządzać komitety nauk przy PAN. Wydaje się też, że parametryzacja czasopism nie może odbywać się co roku, ale w znacznie dłuższych przekrojach czasowych (co najmniej 4 lata), a jej efekty nie mogą być tuż przed zakończeniem okresu oceny. Redaktorzy naczelni czasopism (i redakcje) powinni być również informowani o wyniku oceny kierowanego przez nich czasopisma i dowiedzieć się, dlaczego ich czasopismo otrzymało taką a nie inną punktację. Do tej pory tak się nie dzieje, a niby coroczna ocena czasopism ma pomagać redaktorom i redakcjom w ich rozwoju.

Humaniści wiele nadziei na zmiany pokładali w nowej minister prof. Lenie Kolarskiej-Bobińskiej. Jak do tej pory nadzieje te okazały się płonne. Co bowiem nowa minister zaproponowała w trakcie obrad „Okrągłego Stołu Humanistyki”? Powołanie trzech nowych zespołów: 1) zespołu ds. zwiększania aktywności i udziału polskich naukowców i przedsiębiorców w programie Horyzont 2020, 2) zespołu ds. wypracowania mechanizmów wzmacniających interdyscyplinarność badań naukowych i studiów, 3) zespołu ds. wprowadzenia zajęć ogólnouniwersyteckich na wszystkich kierunkach studiów. Podobny mechanizm działał już w PRL-u: są trudności, powołamy komisję, a potem się zobaczy. Trzeba sobie zadać pytanie – jakież to radykalne zmiany w polskiej humanistyce może przynieść zwiększenie aktywności w programie Horyzont 2020? O jaką interdyscyplinarność badań i studiów chodzi Pani Minister? Czy aby nie chodzi o mnożenie „potworków” typu bezpieczeństwo narodowe i wewnętrzne, kognitywistyka, komparatystyka, polityka społeczna? Interdyscyplinarność badań i studiów w swojej zasadzie musi się opierać na współpracy specjalistów z różnych dziedzin, wymianie myśli i metod badawczych, a nie tworzeniu „nowych” i „niby interdyscyplinarnych” dyscyplin nauki i kierunków studiów. Czy magister, ba, profesor kognitywistyki zastąpi neurologów, językoznawców, psychologów i filozofów?

Należy zauważyć, że w „Okrągłym Stole Humanistyki” uczestniczyli przede wszystkim współpracownicy poprzedniej pani minister z KEJN (rozumiemy – jako strona rządu), rektorzy uczelni technicznych, przedstawiciele tzw. nauk społecznych, które wydzielono z humanistyki, żeby dać im szansę bycia bardziej „światowymi”, nieliczni pro-

rektorzy uniwersytetów, raczej rzadko kojarzeni z humanistyką. Udział rzeczywistych reprezentantów humanistyki został ograniczony do minimum. Pani minister w trakcie spotkania z owymi „humanistami” już na początku postawiła ich „do pionu”, prezentując dane, które „ukazują zaskakująco niską skuteczność polskich uczonych w ubieganiu się o granty europejskie (w ramach programów ramowych) oraz generalnie małe zaangażowanie badaczy z Polski, w szczególności humanistów, w ubieganiu się o takie granty”<sup>3</sup>. Tyle tylko że większość konkursów europejskich skierowana jest do przedstawicieli nauk ścisłych, a nie do humanistów. Do tego niektórzy doradcy byłej pani minister sugerują wręcz, że humaniści otrzymują za wysokie kwoty na swoje badania z funduszy państwowych. Ale kto, jeśli nie Rzeczpospolita Polska ma inwestować w rozwój swojej kultury narodowej?

Niektórzy przedstawiciele nauk ścisłych i „internacjonalizatorzy” nauki sugerują, że humaniści nie potrafią wypełniać wniosków grantowych. Nie jest chyba z tym aż tak źle, skoro W. Duch zauważył, że w konkursach Narodowego Centrum Nauki w latach 2011-2012 „współczynnik sukcesu w pozyskiwaniu grantów w naukach humanistycznych jest nieco wyższy niż w ścisłych i wyraźnie wyższy (26% wobec 19%) niż w naukach przyrodniczych i technicznych”. Ale zaraz dodaje, aby humaniści nie poczuli się zbyt dobrze, że „jednakże zaledwie 11% profesorów nauk humanistycznych aktywnie uczestniczyło w realizacji grantów NCN w 2012 r., podczas gdy dla nauk ścisłych to było 32%, a technicznych 44”. Powoływanie się na dane z jednego roku nie jest poprawne metodologicznie i tendencyjne. Na dodatek zauważyć trzeba, że granty powinny być, jak na Zachodzie, dodatkami na badania naukowe, a nie sposobem na utrzymywanie się instytucji naukowych i uniwersytetów przy życiu.

Profesor Duch kwestionuje również wyniki oceny ostatniej oceny parametrycznej dokonanej przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego za lata 2009-2012 odnośnie nauk humanistycznych i społecznych, gdyż „aż 12 jednostek naukowych otrzymało [w tej kategorii – J.W] najwyższą kategorię A+, pomimo ich niewielkiego wkładu w naukę światową (o czym świadczy niewielka liczba punktów za osiągnięcia naukowe i twórcze). W naukach o życiu było tylko 9 takich jednostek, a w naukach ścisłych i inżynierskich 16”. Dalej prof. Duch konstatuje: „Możemy znaleźć dziesiątki wydziałów biologii, chemii, fizyki czy matematyki, których wkład do nauki światowej jest nieporównywalnie większy niż np. trzech jednostek kategorii A+ zajmujących się historią”.

W tym miejscu chcielibyśmy uspokoić rozedrgane serca. Zaręczamy – w tym, co badają owe trzy jednostki kategorii A+ z historii, są najlepsze na świecie. By uzyskać jakiegokolwiek kompetencje naukowe w tej dziedzinie – historii Polski – przyjeżdżają do

---

<sup>3</sup> A. Antonowicz, M. Bilewicz, E. Kulczycki, *Wielki świat lub zaścianek*, „Forum Akademickie”, 2014, nr 3, s. 10.

nas specjaliści z całego świata i pilnie się uczą. Najlepszych – za najlepsze prace obcojęzyczne o historii Polski – nagradzamy. Że nie ma ich zbyt wielu? Na ostatnim kongresie zagranicznych badaczy dziejów Polski było kilkuset uczonych z całego świata. No cóż historia Polski nie jest tak intrygująca, jak np. historia III Rzeszy, historia Cesarstwa Rzymskiego, historia Imperium Brytyjskiego – te subdyscypliny historii są ponadnarodowe, ale – zaryczamy – też mamy w nich swoich przedstawicieli. Słabo natomiast jesteśmy reprezentowani w badaniach nad historią miasta Mainz czy hiszpańskiej Murcji. A trzeba wiedzieć, że czasopisma poświęcone dziejom tych znakomitych miast znalazły się na osławionej liście ERIH i dawały potencjalnym autorom dwa razy więcej punktów niż artykuły w najlepszych polskich czasopismach humanistycznych. Humanisci nie rywalizują ze sobą w skali świata, nie walczą o postęp techniczny. Nasz wkład w naukę światową polega na pielęgnowaniu kultur narodowych, miejsc pamięci, na propagowaniu idei tolerancji, przywoływaniu przykładów i inspiracji płynących z literatury pięknej, historii... Humanisci przede wszystkim wymieniają się doświadczeniami, a nie rywalizują o laury odkrywców i innowatorów. D. Antonowicz, E. Kulczycki i M. Bilewicz, młodzi przedstawiciele nauk społecznych, zarzucają polskim humanistom, że naszą historię prezentują anglojęzycznym odbiorcom Timothy Snyder czy – dodamy – Norman Davies. Obaj są znakomitymi ambasadorami naszej kultury na świecie, mają dostęp do najlepszych wydawnictw anglojęzycznych. Nie oznacza to jednak, że są najlepszymi badaczami problemów podstawowych – czerpią swoją wiedzę z prac polskich autorów i źródeł, które zostały wydane w Polsce.

W gremiach decyzyjnych nauki polskiej przeważają przedstawiciele nauk ścisłych i eksperymentalnych „oczarowani” informatyką, statystyką i „naukometrią”. Wprowadzony przez nich punktowy system oceniania działalności naukowej być może sprawdza się w ich dyscyplinach, ale z całą pewnością nie w naukach humanistycznych czy nawet społecznych, które nie są naukami „międzynarodowymi” w rozumieniu fizyki, matematyki czy chemii. Są to bowiem dyscypliny „narodowe”, zajmujące się przede wszystkim problematyką własnego kraju. Siłą rzeczy nie może znaleźć to odzwierciedlenia na arenie międzynarodowej, a prawdę mówiąc, nie wydaje się to zawsze konieczne, ważniejsze wydaje się być zainteresowanie własnego społeczeństwa.

Uważamy, że należy popularyzować wiedzę o historii i literaturze polskiej w językach obcych, niekoniecznie tylko w języku angielskim. Z drugiej strony jednak jesteśmy sceptyczni co do możliwości publikowania prac polskich historyków w wydawnictwach zagranicznych, szczególnie tych najlepszych. Kolejki do tych oficyn są długie, a pierwszeństwo w dostępie do nich mają „miejscowi” autorzy, a więc Norman Davies, Timothy Snyder i inni. Nie oznacza to jednak, że musimy być wobec tej sytuacji bezradni. W NPRH istnieje już okienko, na razie tylko okienko, przez które przeciska się kilka książek polskich historyków, przeznaczonych do tłumaczenia na język angielski. Tylko

dłaczego są to książki, które nie dotyczą historii Polski? Książki, które zostały zakwalifikowane do tłumaczenia dotyczą akurat historii powszechnej i wcale by im nie zaszkodziło, gdyby od razu zostały wydane w jednym z języków kongresowych.

Szczególnie cieszy nas w artykule prof. Ducha *passus* o konieczności „głębszej reformy wszystkich kierunków studiów, z naciskiem na realizację określonych przez Krajowe Ramy Kwalifikacji efektów kształcenia. Na wszystkich kierunkach, łącznie z inżynierskimi, ścisłymi czy przyrodniczymi, trzeba zwracać więcej uwagi na kompetencje personalne i społeczne: mniej wysłuchiwanie wykładów, a więcej samodzielnej pracy, pisanie esejów, prezentacji, dyskusji na zajęciach i współpracy w grupach”. To przecież podstawowe idee przyświecające od stuleci studiom humanistycznym. Ich realizację w poważnym stopniu utrudnia jednak wprowadzenie tzw. systemu bolońskiego, sztuczne dzielenie toku studiów na licencjackie i magisterskie, mnożenie bezsensownych procedur biurokratycznych.

Oczywiście, gdybyśmy poprzestali tylko na narzekaniach, można by uznać, że jesteśmy nieznośnymi co prawda, ale malkontentami. Program naprawy studiowania na uniwersytetach jest naszym zdaniem prosty. Nie wymaga powoływania nowych komisji, tylko upraszczania, a przede wszystkim ograniczenia, rozdętych procedur biurokratycznych. Należy zlikwidować rozsadzający kształcenie na uniwersytetach podział na studia I i II stopnia, zlikwidować kierunki „nowomodne”, ale „krótkotrwałe”, a dać szansę na rozwój studiów międzywydziałowych prowadzonych przez specjalistów z różnych, ale ukształtowanych dyscyplin naukowych, wprowadzić dostępne dla studentów (a więc tanie, bezpłatne) kursy specjalistyczne, które realnie są w stanie zwiększyć ich szansę na uzyskanie pracy. Profesorów odciążać należy od obciążeń biurokratycznych narosłych wraz z wprowadzeniem KRK i nadmiernej sprawozdawczości. Do „cwaniactwa” naukowego prowadzi również zbyt częsta (co dwa lata) ocena pracowników naukowych, którzy w stosunkowo krótkim czasie muszą „produkować” publikacje.

Ważne jest też, aby odejść od przyjętego przez państwo (?) założenia, że fundusze na kształcenie są zależne od liczby studentów. Korzystne jest ono bowiem jedynie dla ministra finansów; każdego roku wraz z niżem demograficznym wydaje mniej na uniwersytety. Może się pochwalić oszczędnościami, ale są one bardzo złudne. Ministrowie finansów i szkolnictwa wyższego zapominają przy tej okazji jednak, że i tym samym ograniczają rozwój naukowy i destabilizują życie naukowe i wewnętrzne uczelni. W przypadku finansowania humanistyki decydować powinny takie czynniki, jak: poziom naukowy kadry i konieczność podtrzymania ciągłości kultury narodowej.

Uniwersytety mają bowiem kształcić ludzi, którzy nie tylko będą wiedzieli skąd się bierze prąd, ale też dlaczego posługują się danym językiem i mają większy sentyment do miejsca, w którym się urodzili, dlatego powinni być tolerancyjni wobec innych, którzy będą świadomymi obywatelami tworzącymi samorządne społeczeństwo. Obywa-



telami potrafiącymi zrozumieć potrzeby innych ludzi. Uniwersytety były i nadal powinny być od „wyposażenia” studentów przede wszystkim w szeroko rozumianą wiedzę, a nie w zawód, od tego są bowiem szkoły zawodowe.

Jako puentę wystarczy zacytować prof. Marcina Króla, który ostatnio pisząc m.in. o braku zrozumienia, czym jest uniwersytet, odpowiedział krótko: „kto myśli, że uniwersytet to szkoła zawodowa, ten jest niepoprawnym osłem” (GW, 29-30 marca 2014, s. 23).

### **A humanist – a technoidiot or an empathetic and conscious co-citizen?**

Authors launch into a polemic with an accusation that humanists are responsible for unemployment as a result of education of an overabundant number of students on humanistic faculties, who are left without any job after their studies. However, the graduates in humanities are not worse than the graduates in sciences; they are just as good as them, or sometimes even better in handling with the contemporary reality. Humanists are not responsible for the too low number of high school graduates choosing studies in the field of mathematics or chemistry. The problem arose in result of the precipitant decision taken after 1989 to close vocational schools, technical schools, professional high schools and to direct the youth to academic studies in order to postpone, at least for few years, a problem of the unemployment. It was also allowed to establish a few hundred of private academic schools which educated on a low level but for the time being brought multiple profits to their owners. The authors refer as well to the system of the counted in points appraisal of academic results which does not take into account their scientific level. There are no doubts that the appraisal is needed, however, the specificity of humanities and social studies with a long-lasting process of introducing publications for scholarly usage makes it pointless to use PIF index in their case. It is also crucial to accept calls to take into account a demand to recognize rank of the Polish language for journals from the area of these humanistic disciplines, for which national language is the fundamental one (philology but also history, history of art, law etc.). Decisions on financing humanistic disciplines should be made with respect to the need for preservation of national culture and scientific level of staff. The authors are convinced that universities have to educate people who not only will know where electricity comes from, but will also understand why they use the specific language and have more sentiment to place of their birth, why they should be more tolerant for others, who will also become conscious citizens in the self-governing society, aware of needs of other people. Universities have always been and should be responsible for providing students with the widely understood knowledge, but not with profession, as that is what vocational schools are for.

**Key words:** humanistic disciplines, scientometrics, universities, financing science, grants, empathy

